Dzieci Boga

Wevert

Słońce grzało niemiłosiernie, jakby chciało wypalić każdą, najmniejszą nawet oznakę życia. Wokół siebie nie widziałem żadnej rośliny, nic tylko skały i piasek. Wlokłem się, noga za nogą, po skalistej równinie, monotonnej jak tkanina obrusu. Nawet kamienne wieżyce, wystające gdzieniegdzie z płaskiego terenu, wyglądały, jakby były częścią regularnego wzoru.

Nagle jednak ta monotonia została złamana. Na horyzoncie zamajaczyło coś, co wyglądało jak ciemna kreska. Przetarłem oczy, zalane szczypiącym potem, żeby lepiej się przyjrzeć. Z tego, co wiedziałem, miał być to Las – wielkie zbiorowisko kamiennych iglic. Gdzieś tam znajdowała się osada – jedna z niewielu na Skalistym Pustkowiu. Poprawiłem paski plecaka, wżynające się w skórę i ruszyłem szybciej, poganiając zmęczone nogi do nieco większego wysiłku. Do Lasu dotarłem popołudniu. Na szczęście, Skalne Pustkowia nie były prawie że dotknięte promieniowaniem, więc nie musiałem martwić się sprawdzaniem co chwilę odczytów z licznika, ani omijać gorących stref. Głównym zagrożeniem były tu niesamowite anomalie pogodowe, takie jak tornada, ale na szczęście żadne nie zechciało się na mnie napatoczyć. Właśnie trąby powietrzne (i oczywiście słońce, które zdawało się mieć tu tylko jeden cel – nie dać żyć nikomu) były powodem, dla którego osiedla musiały powstawać w osłoniętych miejscach, takich jak to, które miałem przed sobą. Gdybym miał trochę więcej czasu, pewnie zająłbym się podziwianiem grzybów i iglic, z których największe miały po kilkanaście metrów wysokości. Ale akurat w tej chwili były dla mnie po prostu kolejnymi kamieniami.

Wchodząc między kolumny wyciągnąłem z kabury, którą noszę z tyłu na pasku, stary, wysłużony pistolet. Facet, który w mieście leżącym daleko na wschodzie opowiadał mi o tym miejscu wspomniał, że nie tylko ludzie korzystają ze schronienia, jakie daje kamienny las. Osada miała leżeć niezbyt głęboko, więc zdziwiłem się trochę, ze nie napotkałem żadnego strażnika, czy łowcy. Chociaż, tak na dobrą sprawę, to nie wiedziałem, czy jakiekolwiek z żyjących tu zwierząt nadawało się do jedzenia przez ludzi. Ale, z drugiej strony, po Katastrofie nasze żołądki zdołały przywyknąć chyba do wszystkiego.

Zdając sobie sprawę z tej nienaturalnej wręcz pustki, poczułem ukłucie niepokoju z tyłu głowy. Machinalnie podrapałem się po rozczochranych, dawno niestrzyżonych włosach. Poszedłem przed siebie, ostrożnie stawiając kroki. Pod grubymi podeszwami butów skrzypiał piach, który musiał pochodzić z zerodowanych iglic. Teraz dopiero zauważyłem, jak dziwne i pokręcone kształty przyjmują te kamienne kolumny. Cienie, rzucane przy powoli zachodzącym słońcu, jeszcze bardziej potęgowały paskudne wrażenie, które zaczęło spływać z potylicy wzdłuż kręgosłupa. Potrząsnąłem głową, żeby pozbyć się tego odczucia. Pomyślałem, ze coś jest chyba naprawdę nie tak, skoro zaczynam bać się cieni. I, że zdecydowanie pora szybko znaleźć bezpieczne miejsce i porządnie odpocząć.

Na domy natknąłem się zupełnie niespodziewanie. Stanąłem na brzegu sporej niecki, w której leżała osada. Większość zabudowań przypominała kształtem wigwamy, czy igloo, ale zbudowane z kamieni, połączonych jakąś zaprawą. Kilka było budynkami z prawdziwego zdarzenia, chyba jeszcze sprzed Katastrofy. Zauważyłem jednak, ze nawet wśród tych kopczyków, które wyglądały, jakby usypano je z gruzu, wiele miało porządne, stalowe drzwi, a obok stały lampy, widać, gdzieś w okolicy musiał znajdować się generator, może mieli też coś na kształt elektrowni wiatrowej. Zacząłem się zastanawiać, skąd tyle sprzętu w takiej osadzie, położonej z dala od Obszarów Centralnych. Przyszły mi na myśl dwa najbardziej prawdopodobne rozwiązania – albo zajmowali się „wykopaliskami", jak nazywano przeszukiwanie starych, mniej lub bardziej zniszczonych miast, bunkrów i stacji, w nadziei na znalezieni czegoś przydatnego, albo byli po prostu rabusiami – a to oznaczało dla mnie duży

problem, bo mało kto pogardziłby licznikiem Geigera, kompasem, bronią i kilkoma innymi przydatnymi przedmiotami.

Zajęty rozmyślaniami dopiero po chwili zauważyłem, że coś jeszcze nie pasuje w tym obrazku. Nie zauważyłem nigdzie żywej duszy. Zaraz poczułem to samo mrowienie, które męczyło mnie, gdy wszedłem do Lasu. Coś tu było cholernie nie tak. Mimowolnie sięgnąłem bronią w stronę pistoletu, który schowałem chwilę wcześniej, nie chcąc witać się z mieszkańcami z bronią w ręku. Nagle ktoś wyłonił się zza jednego z tych starych, solidniejszych budynków. Kimkolwiek byli mieszkańcy, najwyraźniej nie podzielali moich obiekcji, co do powitań, bo tym, co najbardziej rzucało się w oczy w sylwetce nieznajomego, była lśniąca stalą strzelba. Wycelowana wprost we mnie.

Solidnie zbudowany facet, trzymający tę giwerę przybliżał się powoli, cały czas trzymając mnie na muszce. Ręce miałem rozstawione szeroko, pokazując mu puste dłonie, nie chciałem go niczym sprowokować. Ruchem lufy kazał mi zejść na dół, po pochyłej ścianie niecki. Nie była zbyt stroma i już po chwili byłem na dole. Zbliżył się jeszcze o parę kroków i nagle, zupełnie niespodziewanie rozluźnił się i opuścił broń. Przez chwilę nie wiedziałem co robić, zupełnie mnie zaskoczył.

- Podróżny? – zapytał.

Przez chwilę miałem ochotę odpowiedzieć nieco złośliwie, bo kim innym mógłbym być, komornikiem? Ale szybko zreflektowałem się, przypominając sobie, że ten człowiek, w przeciwieństwie do mnie wciąż ma w ręku broń.

- Tak. Ale chyba niezbyt mile widziany...-

- Takie czasy – przerwał mi w pół słowa. – Chodź – wskazał jeden z solidnych budynków.

Miałem wielką ochotę dowiedzieć się, o co właściwie chodzi, ale postanowiłem nie zadawać pytań póki co, za to uważnie obserwowałem otoczenie. Facet poprowadził mnie do wskazanego wcześniej budynku i otworzył jego drzwi wklepując kod w klawiaturę na ścianie obok. No nie ma co, niezłe środki bezpieczeństwa tu stosują... ciekawe, przeciwko czemu?

Weszliśmy do przedsionka, w którym nie było praktycznie nic, oprócz betonowych ścian i starej, rozpadającej się drewnianej szafy. Z głębi budynku dobiegał przytłumiony gwar, jakby rozmawiało ze sobą wiele osób. Pomyślałem, ze to dziwne, że w jednym domu mieszka ich tak wielu.

-Poczekaj tu chwilę – powiedział mój przewodnik. Posłuchałem, bo co innego miałbym zrobić?

Przysunąłem się tylko do drzwi, którymi wyszedł. Miałem nadzieję, że uda mi się usłyszeć coś ciekawego, ale niestety zawiodłem się. Nawet jeżeli człowiek, który mnie przyprowadził, mówił coś w środku, to zagłuszył go szum wielu głosów, z których nie byłem w stanie wyciągnąć niczego konkretnego. Zostało tylko czekać.

Szedłem ostrożnie, z pistoletem w ręce. Tym razem nie obciążał mnie ciężki i nieporęczny bagaż, miałem przy sobie tylko broń, trochę jedzenia i mój nieodłączny ekwipunek: licznik, cienką i bardzo wytrzymałą linkę, którą zabrałem dawno temu jakiemuś włamywaczowi, po tym, jak wyrzuciłem go przez okno domu, w którym akurat nocowałem, i kilka innych drobiazgów. John, facet, który przywitał mnie wczoraj wieczorem w jakże miły sposób twierdził wprawdzie, ze za dnia nie powinno być tu żadnych kłopotów, ale nie byłem przekonany. Cała ta sprawa była cholernie poplątana....

Mieszkańcy osiedla wytłumaczyli mi przez noc, co doprowadziło do tego, że przyjezdnych wita się celując do nich ze wszystkiego, co jest akurat pod ręką. I pewnie bym nie uwierzył, gdyby nie to, czego doświadczyłem razem z nimi.

Zaczęło się od zniknięć. Ci, którzy oddalili się pojedynczo, albo zamarudzili gdzieś po zmroku. Poszukiwania, nawet te prowadzone przez najlepszych łowców, nie dawały rezultatu. Ginęli wszyscy – mężczyźni, kobiety, dzieci. Ludzie zaczęli poruszać się w większych grupach, na noc zamykać w domach. Tak przy okazji – mieszkańcy rzeczywiście zajmowali się wykopaliskami. Znaleźli niedaleko bunkier i magazyn, stamtąd mieli generatory i wiele innych przydatnych rzeczy. Niestety, nic z tego nie zdołało im pomóc.

A potem zaczęły się powroty.

Mogę zrozumieć, ze ludzie znikają – z powodu takich bandytów chociażby. Ale żeby wracali później do swoich domów i zachowywali się jak opętani? Mieszkańcy osady mówili mi o „pustych oczach”, cokolwiek by to miało znaczyć. I że nocami ci, którzy zaginęli, wracają. A kto im otworzy drzwi, ten znika tak samo. Zupełnie nie chciało mi się w to wierzyć.

Wtedy usłyszałem pukanie do drzwi. Nie jakieś głośne walenie, czy próbę wywarzenia. Po prostu pukanie. A John zaprowadził mnie w głąb budynku, gdzie, jak się okazało mieli monitor, podłączony do kamery na zewnątrz (W miasteczku było kilku zdolnych techników. Ale, z tego, co mówili, większość z nich zniknęła). I wtedy ich zobaczyłem.

Poruszali się dziwnie, jakby sztywno. W pierwszej chwili myślałem, że są po prostu zaćpani, ale sytuacja do tego zupełnie nie pasowała. Widziałem, jak wysoki facet w niebieskim kombinezonie próbował wpisać bez powodzenia kod do drzwi. John wytłumaczył mi, że pozmieniali wszystkie. Miasteczko wyglądało, jak w starym filmie o zombie, jeszcze sprzed Katastrofy, który miałem okazję kiedyś obejrzeć. Taka kompletnie surrealistyczna wizja – banda sztywniaków chodzi między domami, a mieszkańcy kryją się przed nimi. Ale jedna rzecz mi nie pasowała. Zapytałem Johna, dlaczego ich po prostu nie przepędzą. Odpowiedział, że ludzie stąd nie chcą z nimi walczyć. Boją się, ale mimo wszystko to wciąż ich krewni, czy przyjaciele. Chociaż tak obcy.

Obserwowaliśmy ich jeszcze przez chwilę, kiedy zdarzyła się najdziwniejsza rzecz podczas tego nocnego czuwania.

Do kamery podeszła dziewczyna ubrana w niebieską sukienkę. Nie za praktyczny strój, tak moim zdaniem, zwłaszcza w środku Skalistych Pustkowi. Ale tym, co najbardziej przyciągało wzrok w jej postaci były długie, kasztanowe włosy. Choć brudne i poplątane, to widać było, że kiedyś (całkiem niedawno przecież), musiały być piękne. Zajęty obserwacją, dopiero po chwili zorientowałem się, że patrzy wprost w obiektyw. Zupełnie jakby wiedziała, że też na nią patrzę. Zrobiło mi się nieswojo.

-To Lisa – odezwał się stojący obok John – córka naszego najlepszego poszukiwacza – tak mówili tu na tych, których ja nazywałem archeologami – poszedł za nią po tym, jak zaginęła – ciągnął dalej - ale w końcu ona wróciła, a on nie.

Nie zdążyłem się zastanowić, co mogło się stać z ojcem Lisy, bo w tym samym momencie odezwała się ona. Wprost do małego mikrofonu przy kamerze. Wszyscy zamarli, więc domyśliłem się, że coś takiego zdarza się po raz pierwszy.

-Wędrowcze – głos był zniekształcony przez głośniki – jesteś tam, prawda? Wiem, że przeszedłeś sam przez Pustkowie. On ciebie potrzebuje – za nic nie mogłem się domyślić, o kogo jej chodziło.

A dziewczyna kontynuowała:

– Kazał nam cię zaprowadzić do siebie. Pokażemy ci drogę. On czeka. – Po tych słowach Lisa zamarła w bezruchu. W budynku panowała cisza i czułem jak skupia się na mnie wzrok wszystkich, którzy siedzieli w zasięgu głosu wydobywającego się z głośników...

Kiedy nie zanosiło się na to, żebym wyszedł, Lisa powiedziała, gdzie mam się udać, zanim odeszła razem z resztą „opętanych” przed świtem. Reszta nocy zeszła mi na dyskusjach z Johnem i innymi wpływowymi ludźmi z osady. Wniosek z tych obrad był taki – nikt nie wie, kim jest „On”, ani czego ode mnie chce. Ale pierwszy raz mieszkańcy mieli choć ślad tego, gdzie znikają ich bliscy. A mnie ta sprawa po prostu zaciekawiła, taki już jestem, że z własnej woli pakuję się w największe kłopoty w okolicy.

Chcieli wysłać ze mną kilku ludzi, ale przekonałem ich, ze lepiej, żebym ruszył sam. Ze mnie najwyraźniej nikt nie zamierzał robić zombiaka. A przynajmniej miałem taką nadzieję.

Szedłem według wskazówek, które przekazała mi Lisa i rzeczywiście, punkty orientacyjne zgadzały się. Ale to wcale mnie nie uspokajało. Cały czas myślałem o tym, co się tu dzieje. I czego znów ktoś ode mnie chce.

Nie poszedłem dokładnie tą drogą, jaka mi wskazano, bo nie zamierzałem włazić ewentualnemu wrogowi prosto w ręce. Dlatego do miejsca, które mi wskazano, dotarłem zupełnie z

innej strony. W pierwszej chwili nie zauważyłem tam nic. Lisa nie powiedziała, czego mam się spodziewać, opisała po prostu jak dotrzeć. Pozornie teren, który obserwowałem kryjąc się za szczególnie dorodnym skalnym grzybem nie różnił się niczym od reszty Kamiennego Lasu. Może tylko większym zagęszczeniem bijących w niebo iglic. Postanowiłem podejść jeszcze bliżej. Wtedy dał znać o sobie mój licznik Geigera.

Wycofałem się szybko. Pomyślałem, że może nie bez powodu wskazano mi taką, a nie inną drogę. Zacząłem ostrożnie iść po obwodzie koła wyznaczanego przez sterczące kamienie, badając okolicę licznikiem. W końcu, po kilku próbach, udało mi się znaleźć ścieżkę, która wydawała się być wolna od promieniowania.

To, co znalazłem, gdy wreszcie dotarłem do celu, wziąłem w pierwszej chwili za dziurę w ziemi. Dopiero, gdy przyjrzałem się bliżej, zobaczyłem stalowe płyty, częściowo przysypane ziemią. Po dokładnym zlustrowaniu otoczenia podszedłem dokładnie zbadać znalezisko, mając nieśmiałe przeczucie co do tego, co tam zobaczę. I rzeczywiście, nie myliłem się – rozsuwane stalowe drzwi, starego typu. Bunkier. Zdziwiłem się tylko, że nikt z miejscowych nie wpadł na to miejsce wcześniej.

Drzwi otworzyły się nagle, gdy tylko podszedłem bliżej, gwałtowny ruch przestraszył mnie tak, że niemal nacisnąłem spust pistoletu. Ale dalej był tylko korytarz, rozjaśniony nikłym blaskiem lampek w suficie. Otwarte przejście wyglądało jak zaproszenie, ale nie bardzo chciało mi się wchodzić tam nie wiedząc, czy droga powrotna nie zamknie się za mną równie niespodziewanie. Wyszukałem jeden z odłamków skalnych, który wyglądał na solidniejszy i umieściłem go w szynie prowadzącej drzwi. Miałem nadzieję, że to wystarczy. Później wszedłem korytarzem w głąb ziemi, słysząc tylko blaszane echo swoich kroków. Po chwili do tych dźwięków dołączył zgrzyt – moja blokada przy wejściu na szczęście zadziałała.

W pewnym momencie w ścianach po bokach zaczęły pojawiać się drzwi, ale mimo starań, nie udało mi się otworzyć żadnych. Pozostało tylko iść przed siebie. Korytarz prowadził całkiem głęboko, w swoich podróżach nie trafiłem jeszcze w takie miejsce. Bywałem w głębszych bunkrach, ale one miały zwykle po parę poziomów, połączonych windami i rzadko kiedy były tak rozległe. Wejście zostawiłem już daleko za sobą.

Za kolejnymi z bocznych drzwi była szyba. Spojrzałem przez nią i niemal odskoczyłem, przestraszony i zdziwiony.

Przez szkło patrzyła na mnie Lisa. Dopiero po chwili zorientowałem się, ze w tamtym pomieszczeniu jest też kilka innych osób. Więc to tutaj…

Najpierw myślałem, ze może mnie nie widzą, bo szyba z ich strony nie jest przeźroczysta. Później jednak zauważyłem, że wszyscy stoją bez ruchu. A ich oczy…, ich oczy rzeczywiście były puste. I to właśnie było w całej sytuacje najbardziej obce. Nawet nie kable, które wystawały im gdzieś z pleców i znikały w maszynerii wbudowanej w ścianę, ale te czarne kule w oczodołach. Wtedy, wczorajszej nocy byłem tak przejęty, że nie przyjrzałem się twarzy dziewczyny. A teraz, chociaż szczerze chciałem, nie byłem w stanie odwrócić wzroku.

W końcu przemogłem się i doskoczyłem do drzwi, starając się znaleźć jakikolwiek sposób, by je otworzyć. Nic z tego. Wreszcie odsunąłem się kilka kroków i ściskając pistolet w obu rękach, wycelowałem w szybę.

Ogłuszający huk (echo niosło się straszliwie) niestety nie przyszedł w parze z dźwiękiem pękającego szkła, którego oczekiwałem. Kula zrykoszetowała od kuloodpornej szyby i uderzyła w przeciwną ścianę. Zacisnąłem dłonie i w bezsilnej złości kopnąłem w ścianę. Postacie w pomieszczeniu niczym nie zareagowały na mój wybuch.

Zrezygnowany ruszyłem dalej korytarzem, zdecydowany dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Ktoś się mną bawił, a ja nie zamierzałem na to bezkarnie pozwalać.

Centrum kompleksu (tak przynajmniej myślałem o tym miejscu) było rozjaśnione dla odmiany łagodnym, niebieskim światłem. Było to koliste pomieszczenie, wzdłuż ściany biegła galeryjka z poręczną, a w centrum znajdował się głęboki szyb. Przez jego środek biegł jakby rdzeń,

rozświetlony różnokolorowymi lampkami. Wyglądało mi to na największy komputer, jaki kiedykolwiek widziałem….

Obszedłem całość wkoło. Nie było żadnego innego wyjścia. Więc to tu miałem przyjść. Tylko po co?

Odpowiedź przyszła po chwili. Z rdzenia wysunął się jakby rozkładany most. Kolejne zaproszenie. Wszedłem na niego z pewnymi obawami, w dół było ładnych kilka metrów. Podszedłem do tej niesamowicie skomplikowanej maszynerii. Ledwie byłem w stanie cokolwiek tam rozpoznać, a na elektronice znam się nawet całkiem dobrze…. Na tyle dobrze, żeby zorientować się, do czego służy przyrząd podobny kształtem do słuchawek, zamocowany na wstającym stojaku. Chwyciłem go i nie do końca pewnie założyłem na głowę. Emitery mogą robić przykre rzeczy z mózgiem. Ale byłem zdeterminowany, żeby dowiedzieć się czegokolwiek i w jakikolwiek sposób.

Korzystanie ze sprzętu takiego jak emitery sprawia bardzo... dziwne wrażenie. W pierwszej chwili wydaje się, że cały świat wali ci się na głowę. Później, że tylko wiruje wokół własnej osi. A dalej... to nie jest tylko dźwięk, czy obraz. Raczej odczuwanie. Emitery myślowe oddziaływają bezpośrednio na mózg. Widziałem wcześniej takie w książkach, a raz miałem okazję obcować bezpośrednio, więc choć trochę byłem przygotowany i zdołałem jakoś poskładać w całość komunikat, który płynął do mnie z superkomputera...

Czy raczej supermózgu. Bo to nie był zwykły komputer. Powoli docierało do mnie, że to jakaś superświadomosć, działająca na zupełnie innym poziomie niż ja..., czy jakikolwiek inny człowiek. I to on stał za zniknięciami mieszkańców miasteczka.

To było jak hodowla, czy fabryka. Ci ludzie mieli stać się zalążkiem nowego pokolenia, czy nawet nowej rasy. Przystosowani do życia po katastrofie, odporni na promieniowanie, łączący najlepsze cechy biologii i techniki.... Wszystko to zalewało mnie potężną falą odczuć. Ta... istota, bo trudno mi było myśleć o niej, jako o maszynie, mogła naprawdę to zrobić!

Na razie próby były jednak... niezadowalające. Przynajmniej po części. I nie chodziło nawet o całkowite ubezwłasnowolnienie nowych ludzi, bo na etapie prób zostało to uznane za wręcz naturalne. Ale u obiektów pojawił się chociażby światłowstręt i kilka innych, niepożądanych cech. Komputer zrzucił to na karb słabej jakości surowca.

A później jego roboty zwiadowcze dały mu znać o mnie. Wędrowcu przemierzającym samotnie tereny, na które nawet karawany zapuszczają się rzadko. I uznał, że ktoś taki musi być wyjątkowy i może być przydatny. Jako doradca, pomocnik i prekursor nowych ludzi. Tych, którzy zasiedlą tę ziemię wreszcie jako swoją. Tych, którzy nie będą musieli się kryć, ani...

Obiekty! Surowiec! Zerwałem z głowy słuchawki emitera. Wizja, jaką przede mną roztaczała ta maszyna była czymś wręcz oszałamiającym. Ale nie mogłem się przekonać do tego, żeby o kimkolwiek myśleć w kategoriach „obiektu”. Robiłem w życiu różne rzeczy. Ale zawsze ludziom, choćby było to strzelanie w plecy.

- Przykro mi stary – powiedziałem stojąc na galeryjce przy ścianie pomieszczenia i posyłając pocisk za pociskiem w delikatną elektronikę – ale chyba po prostu myślimy inaczej...

Później biegłem, mając tylko nadzieję, ze roboty będące na wyposażeniu bunkra bez swojego mózgu nie będą skłonne do ścigania mnie. Zatrzymałem się tylko na chwilę. Spojrzeć przez szybę na ciała, w które maszyneria przestała ładować życiodajną energię.

- Szkoda, ze nie mogliśmy porozmawiać normalniej – szepnąłem w kierunku nieruchomej twarzy Lisy. To miejsce skrywało niewątpliwie jeszcze wiele zagadek, ale nie mogłem się zmusić, żeby zostać tam choć chwilę dłużej.

Autor pracy brał udział w konkursie „Opowiedz to” organizowanym przez Trzynasty Schron i Wydawnictwo Portal i otrzymał wyróżnienie.